

4 lutego [1960]

[...] Noc przemija na darmo. Nie mogę jej zamknąć ani snem, ani robotą, ani życiem. Spacer z pieskiem – jakże jest ode mnie daleki. Noszę siebie – czy też dosięgają mnie te niezliczone macki, które wciągają mnie w to życie – zdające się tak ulatywać jak dym?

Mógłbym, chciałbym, powinienem – co znaczą te słowa? To, czego się nie zrobi, ucieka na zawsze – nie nabiera istnienia. I cóż stąd? Spełnił – nie spełnił swego obowiązku – oto maksimum nagrody, ale też i suma wątpliwości, bo gdzie są rzeczy niespełnione, fakty, które nie zaistniały – skoro nie ma nawet tych, które istniały, były, spełniły i wypełniły się kiedyś? Wczoraj czy sto lat temu – różnica niewielka. Prawie żadna. Sto lat temu żył już mój ojciec, którego znałem dobrze. Przedmioty, które mnie otaczają w małym pokoiku, mają po sto lat, niektóre, które znam od chwili, gdy siebie pamiętam, i dawniej, od kiedy one istnieją. Już gdy byłem mały, przerażała mnie myśl, że mój pantofel nocny może mnie przeżyć. Dziś mnie to nie przeraża. Z latami pragnę pogłębiać w sobie ten zadatek spokoju, który czuję, jak jest dążeniem natury do tego stanu gładkiego, równego, do powierzchni, na której nie ma ani Boga, ani ludzi, z której ulatują nasze wszystkie gwałtowności i myśli, uczucia i trwogi w pustkę, przed którą ludzkość się wzdraga, której nie chce, o której myśleć nie chce, jak wszystko, co żywe, i wszystko, co się broni przed tą gładkością, krągłością i obrotem rzeczy.

Ludzie nie chcą obrazu pustki – już grzebią padlinę pospiesznie. Prawdziwej ciszy i samotności się boją – nie są dosyć bogaci i silni, żeby ją wytrzymywać. Pragną ciepła, aż po żar i gwałtowność, które ich spalają.

Ten proces spalania, tak żywy i gwałtowny za młodu, stygnie potem. Wtedy szukają namiastek, ersatzu, pozoru. Udają, że płoną, ale są już zimni – to już tylko nerwy, dziwactwa, urazy i psychozy w nich grają, imaginacja martwa, bez prawdziwego uśmiechu i bez prawdziwych łez. Niektórzy potrzebują sztuki, żeby się rozgrzewać w jej ciepłe. I gdy sztuka tego ciepła czy tych płomieni w sobie nie ma – zimna jest i nie rozgrzeje nikogo. Jej istotą jest to światło, które daje tylko miłość. Ona grzeje jeszcze zwiotczale uczucia. Bo miłość jest uczuciem – póki ono jest żywe, póty ma ona moc działania na drugich, na siebie – podmiot – też. A przedmiot miłości? Wszystko jest jedno, jaki jest, byle był. To ona ma nas wypełniać – a miara, którą przykładamy potem do niej, w zależności od tego przedmiotu, jest – obiektywnie – jedna. (Stąd pojęcie rozmiaru, wielkości, małości – ale to chyba nieważne).

Nieborów, 1 września [1962]

Gottesman proponuje mi pisanie pamiętnika – wspomnień? – do „Przeglądu Kulturalnego”. Teoretycznie więc mógłby się urzeczywistnić projekt całego mego życia, napisania i wydawania dużych wspomnień. Wiem jednak, że nigdy tego nie zrobię. Wszystkie tematy, których poruszenie by mnie interesowało, są u nas tabu. A więc: szlachetczyzna, tak jak ją widziałem, tępa, ograniczona i

ciasna – czyli: od strony „typów”. Ta ostatnia gawęda szlachecka musiałaby być krwawo bezwzględna, gdyby miała być coś warta. Nikt nie potrafi lepiej opaskudzić własnego gniazda niż ptak, który z niego wyleci. Ale to musiałyby być wtedy *des mémoires d'outré-tombe*. Nigdy nie doczekam się tego, by wszyscy wymarli. Mógłbym wziąć na siebie rolę „oszczercy”, ale musiałbym chyba na resztę moich dni z Polski emigrować. Wyjątki, które mógłbym pokazać, wartości, które ginęły na moich oczach, nigdy by nie wyrównały tych ran, które musiałbym zadać, opisując to środowisko.

To pierwsze tabu.

Drugie – to wszystkie moje spostrzeżenia „marksistowskie” – na przestrzeni lat powojennych. Tych cenzura by nie przepuściła, a o środowisku warszawskim z tych lat byłoby też niewąsko, z zakresu „oszczerstw” i „demaskatorstwa”. Też trzeba by emigrować!

Trzeci temat, który mnie interesuje, to sprawy boskie. Tu już Kardynał zaapelował po moich *Bogach*. Ta sztuczka, do której przywiązuję większą wagę, niż to okazuję, demaskuje mój pogląd na sprawy boskie: jakakolwiek ingerencja w sprawy stworzenia nie jest kierowana przez żadną istniejącą inteligencję czy rozum „wyższy”. Zarówno kosmos, jak i to, co nazywamy ogólnie naturą, rządzi się prawami absolutnie obojętnymi na los tegoż kosmosu i natury. Ten pogląd nie jest „na Polskę”. Jego pesymizm nie mieści się w istniejących tu kategoriach myślenia.

Czwarty temat: erotyzm, miłość czy jej brak, „nie-miłość” – też zbytnio odbiega od przyjętych tu kryteriów i poglądów. Nawet gdybym swoje poglądy i doświadczenia przedstawił jako wypadek nietypowy, nie dający się w żadnej mierze uogólniać, to i tak trudno jest to otwarcie u nas objawiać publicznie.

A więc *mémoires d'outré-tombe*, ale naprawdę: zamknięte w moim jednostkowym istnieniu, którego prawdy nie mogę tu wyrażać.

Warszawa, 5 listopada [1962]

[...] Już o Austrii mówiono: gdyby jej nie było, toby ją trzeba było wymyślić. Czy można teraz stosować to do Boga? Wymyślić go na nowo? Sprawić sobie nowego Boga, jak się kupuje kalosze, parasol? Tego się tak nie robi. Na to potrzebni są prorocy, święci, cały duchowy aparat, bez którego Bóg więdnie, schnie, niknie, a zjawia się chmura gradowa, atomowa, ciemność niebieska, za którą widzimy straszne i puste oblicze obojętnego wszechświata w wiecznym ruchu i obojętnej, umierającej przyrody. Persefono – wołamy, Styks – wołamy, póki się nie chwycimy pierwszego lepszego bałwana, ślepego fanatyzmu, idiotyzmu zbrodni, bicia we wroga, na kogo popadnie, kogo palcem wskażą nam ślepcy na chybił trafił. Oto zbawienie, oto Żydzi, komuniści, bogacze, fałszerze, Chińczycy czy Bogu ducha winny biedak, który przysiadł zmęczony, może po prostu Chrystus jaki, co się zabłąkał? Upośledzony. Aleśmy wszystko wygnali – wiarę, zwykłą pracę, nadzieję i miłość. Wierzymy w postęp,

lodówkę, autostradę i jazdę na Księżyc. Wygnaliśmy *Ojciec nasz* i piosenkę Schuberta, poświęcenie i nadzieję. Kaci bredzą z ofiarami na scenach o beznadziei i o zatkanym klozecie – byle „jetem” przelecieć z Nowego Jorku do Paryża w dwie godziny. Nienawiść czy szal? Przypadek – odpowiadają mędrcy. Przypadek mają jako panaceum, środek na wytłumaczenie świata, gdy nikt nie potrafi pokierować przypadkiem, ułożyć tego śmietnika w inne układy niż miara dobrobytu, o którym już mędrsi mówili, że to proch i nicość, które z rąk przyjdzie wypuścić, a szczęścia nie daje.

Siedzę jak nad gruzami miłości, słucham. Głosy te nie są głosami przeszłości. Na każdym kroku widzę, jak ukazują nam same próżnie i ciemności, bezładne i puste – i mówią, że to tam trzeba iść. I mam wtedy wrażenie utopione w bezsile, że przecie sprawy te mogłyby być proste, gdyby ktoś potrafił wskazać na jeden świetlisty punkt. Czy to jest ten nieistniejący, a jedyny punkt stały, którego nie ma? Którego już nie możemy wymyślić, bośmy zrozumieli, że go nie ma? A więc wróg jest w nas i dlatego nie możemy go pokonać? Dopuszciliśmy do jego wzrostu, zmęźniał w naszym mózgu i teraz za późno?

*Stawisko, 3 VII [1966]*

[...] Kapitulacja przed zadaniem: uczeń, który mówi; „nie potrafię”; polityk – gdy uzna, że jest pokonany; chory, gdy zwątpi w możliwość wyzdrowienia; artysta, gdy porzuca pracę z ukrytą myślą – jak uczeń: „Balzac i Tołstoj, Rembrandt i Rafael, Bach i słabiutki Chopin robili lepiej”; kraj, gdy przestaje wydawać tych, którzy podejmują jego misję, zadanie, odpowiedzialność. Nie mówcie, że bezcelowe jest funkcjonowanie zbiorowości. Bezcelowe jest wszystko albo nic. Gatunek ludzki nie wytrzyma konfrontacji z takim założeniem. Rozbicie przyczyny i celu jest jak posypywanie proszkiem DDT. Muchy jeszcze przez chwilę latają, a potem bzykają, padają na grzbiet, kręcąc się w kółko. Mówcie wtedy muchom o przyczynach istnienia i celu stworzenia.

Czy jesteśmy już posypani tym proszkiem, czy może jeszcze nie? Bo może jest jeszcze furka i cel? Może to jeszcze nieprawda, że wysypaliśmy proszek na cały nasz rój? A wtedy i Polska nie tylko jest nazwą, i nasza planeta nie tylko kulką, na której ludzie już tylko bzykają i kręcą się w kółko.

Powinna istnieć równowaga sensu i równowaga przeznaczeń, ale to nieprawda. Jeden człowiek może zbawić świat, póki jest jeden sprawiedliwy, póty istnienie ma sens, bo nie wygasły źródła nadziei. Ale to też nieprawda. To my ożywiamy prochy sprawiedliwych i świętych, póki jesteśmy młodzi. Póki pozostawialiśmy niezbędny margines, na którym równoważyły się szanse natury i spekulacji, wiedzy i wiary, determinizmu i indeterminizmu. Póki alchemia istniała jak figury zodiaku na barwnej i tajemniczej karcie ziemi i nieba. Dziś stoimy u podnóża pionowej igły naszych możliwości, stoimy na drodze, gdzie nie ma wyboru i z której nie ma odwrotu. Nie możemy już zapomnieć, możemy tylko zniszczyć. Obrona przed kapitulacją? Posłowie musieliby posiadać możliwość alternatyw. Alternatywa dla muchy, gdy proszek się już wysypał? Iść do łazienki, umyć ją, może szczotką ryżową?

Życie, umiłowanie: drzew, światła, stworzenia, silniejsze niż śmierć. Odsuwające lęk przed nieistnieniem i kapitulacją. Stawiające zadania, a pilność ucznia biedzi się, po kropce nowe zdanie zaczyna, nową metę stawia – a czas mija i układa się jak stożek, piramida, na której szczycie jestem zawsze ja pierwszy, bo tylko dzięki sobie rozumiem, czuję, a więc wiem, wiem na pewno.

Już jest czternastego, już zdobyli Bastylię. Znaleźli tam jednego czy dwóch więźniów, ale zrobili z tego rocznicę i symbol, wypisali „wolność, równość, braterstwo”, trzy słowa, trzy kłamstwa, trzy wiary, jak miłosierdzie, dobroć i może piękno, które może być sprawiedliwe i niesprawiedliwe, może funkcjonować z miłością i krzywdą, może przybierać oblicze diabła i anioła. Więc nie piękno, nie mądrość. Cnota, która jest czysta, nie krzywi ust grymasem i zatwardziałością. Postać nieprawdziwego rycerza. Znowu Anioł!

Jeszcze krok, a zobaczę chłopca z przystrzyżoną grzywką, siedzącego w karczmie, nad wódką...

Świta.

Jak byś nie przestawiał – te same cyfry dadzą zawsze tę samą sumę. Może tu jest klucz do pojęcia, czym jest c z a s ?

*7 listopada [1966]*

[...] Życie, nie śmierć, jest straszne. Wszystko, co żyje, męczy się – im mniejsze przygotowanie, tym męka jest bardziej przejmująca dla świadków, którzy widzą i asystują. Obraz bezbronności, miłości i wiary zranionej, obraz słabości. Ja słaby nie jestem, siebie się nie boję. Rani mnie widok i obraz życia, strach: że wejdę i zastanę katastrofę albo ona wejdzie przez okno w chwili, w której się tego najmniej spodziewam. Że zginie pies, ktoś bliski, strach przed wykręconym pod kołami tramwaju człowiekiem.

Oto tego, tego skreślenia, nagłości, się boję. Uderzenia, które tkwi zawsze, blisko, nie przygotowuje nas, drugich, nie zdąży błysnąć przyczyną i sensem. Obróć twarz do szczęścia. Jeden zwrot głowy. Ile razy, gdzie, kiedy, odczuwałem i wiedziałem, że mieszcę się w jego żywiole, szczęściu?

Raczej coś widzę: jasność, słońce, ale raczej pojęcie niż jakiś krajobraz. A jeżeli krajobraz, to pole, wikliny, rzeka, a za nią wzgórza, las – dokładny obraz nad Wisłokiem. Ale to nie ma już nic wspólnego ze szczęściem.

I nigdy miłość. Raczej już inne wrażenie: czegoś, co słyszę. A może czegoś, na co czekam? Oczekiwanie, jutro i nigdy.

Co to jest? Ciekawość? A może muzyka?

Powtórzyć coś. Powtórzyć jazdę końmi po drodze polnej, gdy nie słyhać turkotu kół. Powtórzyć jazdę, której nie zrobiłem nigdy: na Sycylię, gdy kwitną pomarańcze. Powtórzyć Blida, gdzie nigdy nie byłem. Kraje Arabskie. Egipt, pięćdziesiąt lat temu, Rzym, jeszcze dawniej, szwajcarską drogę w

1840 roku. Dojść do źródeł Nilu, do grającego Mozarta, do Grecji. Byłem dwa dni na Akropolu, tyle, żeby nie być i za późno.

Za późno.

Szczęście jest z pewnością powtórzeniem, ale powtórzenie nie istnieje. Ile razy poeci chcieli zatrzymać ptaka w garści? Szczęście jest zmyśleniem. Imaginacją. Mitem. Istnieją tylko jego obrazy: uśmiech. Młody uśmiech przede wszystkim. A potem wszystkie fałszywe, sztuczne, nieprawdziwe obrazy, ich śmietnik. Ale o tym nie myślę. Myślę o innym, wiecznym uśmiechu.

*15 stycznia [1967]*

Dostaję obszerny ilustrowany katalog z wystawy Picassa w Grand i Petit Palais w Paryżu. Tyle razy zachwycały mnie obrazy Picassa, a w sumie widzę tyle twardych, nieartystycznych, złych. Co to znaczy złych? Nie myślę tu ani o twardej kresce, ani o twardej farbie, kolorze. Myślę o jakimś braku dobroci, wzruszenia, bez których obraz i muzyka są chropowate, niedobre. W stosunku do nas, ludzi. Czy tego samego nie ma w retorycznych zwrotach muzycznych u Strawińskiego? Ile tam twardego rysunku, akcentów, które padają parzyste i złe na grupy trójkowych czy poszóstnych grup, jak owady, osy, bzykające nad talerzem, na którym już nie ma owoców.

Miłość, której skrzydło głaszcze każdy okres piosenki Schuberta, gdzie ona się podziewa u Strawińskiego? On jest zły, Picasso jest zły, gdy maluje oczy i trąby, poprzekładane wżyz i wszierz, dłonie i stopy powykręcane z półdupka, piersi i tyłki wywrócone na zewnątrz, chrzęst kości w zimnej trupiarni czucia i zmysłów.

Sztuka jak łoskot obręczy po metalowych prętach, czemu ona ma taka być? Czemu ma się obracać plecami do morza, drzew, słońca, miłości i wzruszeń ludzkich, zwykłych, czułych? Kto to tak każe? Miasto, które się wstydzi, bo zagubiło prostotę? Pomyłka wieku, moda przemysłowo-handlowa? Człowiek, który się zgubił w mieście, w tłumie, który chciałby zwrócić uwagę na siebie, a nie wie jak, którędy, ślad w ślad mógłby jeszcze iść, żeby zejść do siebie, do własnego domu.

Porozumienie ze sztuką meksykańską, afrykańską, azjatycką, oblatywanie świata, szybkie, w którym na Rzym poświęca się kilka dni, a na Ateny i Grecję pięć, żeby być we czwartek w Bangkoku.

Czy można jeszcze człowieka przytrzymać, powiedzieć mu: siądź, poczekaj, popatrz, posłuchaj i pomyśl? Przeżyj? Twoje przeżycie nie może być krótsze niż przeżycie Szekspira, Homera. Twoja krew nie krąży szybciej, serce nie bije mocniej niż serce Leonarda i Bacha. To nieprawda, że nie masz dokończyć zdania, że możesz myśleć przeprowadzić szybciej przez drzwi – dlatego, że panuje tu tłok i ścisk. Mijasz przedmioty, z których każdy wart jest godziny, dnia i życia, pełnego skupienia.

*Paryż, 18 maja [1967]*

Zostawiłem Józiovi Cz[apskiemu] pierwsze kilkaset stron tego dziennika. Spotkania z Józim zapadają mi zawsze głęboko w serce, moją treść. Z latami tyle występuje między nami i naszym losem podobieństw. Ale Józio maluje dużo, a ja komponuję mało. Co ostatnio? *Pięć preludiów* na kwartet smyczkowy z fortepianem (dla Nadii) i piosenki do słów Iwaszkiewicza – strzępki z *III Symfonii*, której nie ma. Józio wszelkimi siłami, żeby komponował...

Giedroyc jęczy nad biernością społeczeństwa naszego, nad letargiem literatów naszych. Mówiący o tym, jak w Rosji się „rusza”, ile głosów stamtąd dochodzi. Próbowałem improwizować, że w Rosji sprawy te, sprawa komunizmu, marksizmu, wszystkiego, co oni tam narobili – to sprawa ich, ich własna, a jednocześnie i automatycznie uniwersalna. A u nas co? Samoobrona, fakt istnienia, Polska i niepodległość – to nikogo na świecie nic nie obchodzi, a nas zamyka w ciasnym, lokalnym kręgu. Że może tu gdzieś leży powód...

*Warszawa, sobota, 6 października [1967]*

[...] Tu dzisiaj pogrzeb Janusza Radziwiłła w kościele na Mokotowie i ślub Izabelli Czartoryskiej, córki Adasiów, z panem Jeanem Caillot i popołudniowym przyjęciem w Jabłonie. Dziwny dla mnie dzień, pełen Radziwiłłów i Czartoryskich, Zamoyskich, Stadnickich, Dzieduszyckich, Krasińskich – raz jeszcze wszyscy razem. Gdy wchodziła, wprowadzała się, stara, mała, o kulach, z umalowanymi policzkami, czarnymi koronkami na głowie, Izabelka Radziwiłłowa (siostra Dolly z Paryża), patrzyłem jak na scenę z Prousta czy z książki George’a Paintera o Prouście. Jeszcze dużo tych ludzi znałem, jeszcze dosyć dużo o nich wiem – słyszę jeszcze, co mi opowiadał Janusz Radziwiłł. Cały ten umierający świat był na pogrzebie księcia Janusza i na ślubie Izabelki Czartoryskiej. Patrzyłem na nich, co oni warci, czy są coś warci? Im dalej od czasów, w których mieli dwory, pałace i kilka zamków, tym ostrzej widzę, co wyróżniało arystokrację od innych ludzi: uważali się za coś innego, szczególnego i niemożliwego do podrobienia, udawania. Prawdziwa arystokracja u nas odznaczała się tylko jednym: że nie udawała niczego – jak prawdziwy chłop, rzemieślnik, stolarz, kowal. Nie udając niczego, miała poczucie równości ze wszystkimi, którzy coś znaczą. Nie imponował jej król, papież, milioner, minister. Ładowali się z prymitywną, prostą swobodą w każdą sytuację – traktując uczonego, artystę i dyplomatę, jak się traktuje zwykłych ludzi.

Stąd milion nieporozumień na każdym kroku. Liczyło się bowiem matkę i dwie babki, które musiały być Sapieżanki, Zamoyskie czy Radziwiłłówny – wszystko inne było bez wartości. Wartością była rodzina, tak zwane „gniazdo”, a dopiero potem majątek, martwy, bo leżący płachtą źle zazwyczaj gospodarowanej ziemi. Pan na Ołyce, Łańcucie, Nieświeżu, Rogalinie, mógł być mądry czy głupi, był jednak zawsze jedyny i za jedynego się uważał. Roman Sanguszko powiedział mi w październiku 1939 roku, w Budapeszcie: „Już drugi raz mi coś takiego robią”. Pierwszy raz to mu zrobili rewolucję

rosyjską i zabili dziadka w Sławucie. Drugi raz Hitler go wyrzucił z Gumnisk i Podhorców. A w Paryżu, gdy mu mówiłem, żeby przyjechał zobaczyć, „jak my tu wyglądamy”, oświadczył mi: „Przyjechałbym, ale co ja mogę dla tych ludzi zrobić?”. Ci ludzie to my tu, 30 milionów Polaków. Jednocześnie zaś cała ta arystokracja żyła bez żadnego wysiłku, była bierna, bez intelektualnych ambicji. Ludzie żyjący „z wysiłkiem” byli zupełnymi wyjątkami. Nawet nie wysilali się na francuską czy angielską *mondanité*, nie kolekcjonowali, nie czytali tego, „co trzeba znać” – w Paryżu czy Londynie.

Dziś patrzyłem na nich, szukając, kto był, kto jest jeszcze wybitny. Nie widziałem nikogo. Stara Izabella Radziwiłłowa szła – prowadzona o kulach – jak rumowisko wszystkich zamków i pokoleń, już ostatnia, przeświadczona o tym, że ważne jest, że to idzie ona, ostatnia pani z Mańkiewicz i księstw rodzinnych, historyczna, jak de La Rochefoucauld, czy Doudeauville. A reszta, to już młodzi, którzy „nic nie wiedzą”, bo nie pamiętają o znaczeniu, na które zasługuje się, zarabia, przez 300 i 500 lat u nas, przez 700 i 800 we Francji.

Świat doraźny i liczny nie ma już nic wspólnego z mitem arystokratycznym. Zamyka się karta, poza którą świat był „nasz” i „nie nasz”. Oznaką owego „nasz” była odpowiedzialność, którą osobiście się odczuwało, nawet wtedy, gdy już nowy porządek temu przeczył – gdy Europa przestała by przez arystokrację rządzona.

Nostalgia, którą odczuwam, jest na kształt smutku za czymś, czego istnienie nie miało określonej formy, granic wymiernych. *Le temps des équipages* był światem, który istniał w imaginacji, a realizował się mozolnie i nigdy w czystym kształcie nie istniał. Świat jest zawsze ruiną czegoś czy dążnością do czegoś, jak miłość, czystość, sprawiedliwość. Tylko zło przybiera formę konkretną i absolutną, tylko nieszczęście jest czymś definitywnym (Balzac). Dobro i szczęście nie kierują skupionej wiązki promieni na człowieka. Stąd cnota jest ułomna, a nie absolutna. Szybki i młody geniusz może się tylko zestarzeć. Jego wzrost jest niepostrzeżony. Arystokracja urzeczywistnia się, gdy jej już nie ma. A świat łąknie elity, potrzebuje tego, co sprawia, że inność i wyróżnienie istnieje, inne niż poprzez niedorzeczną zaślugę. Musi istnieć coś, co ani zasługą, ani ceną odmierzyć się nie da, jak dzieło sztuki, myśl i uczucie, dotknięcie skóry, alabastru. Coś dla niewidomych, głodnych, pozbawionych zmysłu, którym jest absurd nieosiągniętej tęsknoty. Zastąpić myśl o szczęściu. Klasa robotnicza, wolność, to abstrakcje płaskie, cerebralne, zbyt rozległe, znaczeniowo rozwlekłe. Sutanna, mundur, korona, herby – wystrój wyróżniający; kasta – węższa od rasy i narodowości – świeci, jest celem, źródłem porządkującym nierówność, jawnym jej uładzeniem.

Wyjść z punktów: nierówności, niesprawiedliwości, brać pod uwagę nie wolność, ale niewolność człowieka. Nie aktywność, a bierność? Wszystko to wydaje mi się umówione opacznie, skłamanie. Jak boska omyłka, gdy chylimy się bądź w stronę istnienia, bądź nieistnienia Boga. Czuję z absolutną pewnością, że pierwszą i największą omyłką jest alternatywa tak i nie. Tu się człowiek omylił, jest za prymitywny, jego istnienie jest zbyt prostackie, by mógł wyjść poza tak i nie. Tryb warunkowy

nie ułatwia tu niczego, jest tylko wątpliwością. Podczas gdy chodzi tu nie o alternatywę rękawiczki, która na prawą i lewą stronę pasuje, ale o inną wymierność, trój- i czwórwymierność pozytywu i negatywu. W tym wymiarze najmądrzejszą jest obrazowa koncepcja Boga w trzech osobach jednego; z obrazu tego możemy wyjść dalej, w trzecią stronę naszego własnego istnienia, uwikłanego w dwojakie tak i nie.

Może istnieje tu możliwość pewnych ludzkich zbiorów, których prototypami były właśnie kasty, rycerskie, bramińskie, światy wyłączające się ze zbiorów większych, pośrednie, dążące do innych celów niż ogół. Poszukującym modelem były i są partie, modelem opacznym, ale dążącym podświadomie do wyróżnienia – międzynarodówka marksistów czy zbiór narodowych socjalistów NSDAP. Ludzie szukają więzów, zło i dobro, cel i skutek pominięte są w tym i rozumowaniu, i poszukiwaniu. Nikt o nie naprawdę nie pyta, jest to uderzające w naszym wieku.

Szukają znaku, który pozwoli im na rozcięcie „po innym pionie” dylematu tak i nie.

Którędy pójda, gdy już możliwe jest wszystko, aż po własny, zbiorowy los?

Wydaje się, że droga tu wiedzie do absurdalnych tylko „powiązań”. Z logiką nic nie mających wspólnego. Człowiek nie znajduje żadnej wspólnej więzi, słuszność rozpyliła się, wygląda to jak garście piasku rzucane na wiatr.

Myślę o tym dziś, bo tam, w kościele i na przyjęciu w Jabłonie, miałem to wrażenie wprost namacalne, piasku rzucanego na wiatr, jego rozproszonych ziaren, które mi się wciskały za kołnierz, gryzły mnie po ciele, po zakamarkach duszy mojej.

*Sopot, 18 marca [1969]*

Młody człowiek – młody dla mnie – bo już ponad trzydziestoletni, mówi mi: „Niech pan o tym nikomu nie mówi. Ale mój ojciec zginął w Katyniu. Ja dlatego nie pojedę do Związku Radzieckiego tak długo, póki nie będę mógł najpierw pojechać tam, na grób ojca”.

Okropne jest nie to, że jego ojciec zginął w Katyniu. Okropne jest to, że zaczął on od: „Niech Pan o tym nikomu nie mówi”.

Inny, już stary (nazwisk nie podaję, żeby ich nie sypać w razie, gdyby mi te notatki zabrano), rozgląda się w przedpokoju, czy nie ma kogoś, i ściska mi rękę:

„Chciałem panu pogratulować”.

„Pogratulować, czego?” – pytam.

„Pan jeden uratował nasz honor”.



Takie wypadki zdarzają mi się bardzo często, ale w 99% ukradkiem. W kularach Filharmonii zapytałem: „Czemu pan mówi tak cicho? Ja źle słyszę”. Tutaj, gdy kupowałem dwie cytryny, sprzedająca: „Od pana wstyd brać pieniądze”. Widocznie zna mnie z dawnych czasów z telewizji i słucha „Wolnej Europy”. Odpowiedziałem jej, że nie ma prywatnego sklepu i trudno, w państwowym zapłacić za te cytryny.

W szpitalu jeden doktor, największa „sława medyczna”, ścisną mi rękę: „Chcę panu uścisnąć rękę”. „Dlaczego?” – pytam. „Pan rozumie. Pan jeden miał odwagę”. „No i widzi pan profesor – jakoś żyję”. „Niech pan pozwoli, to dla mnie zaszczyt”. Ledwie się wykręciłem, tak byłem zażenowany, bo mało kto mi tak imponuje, jak nasi doktorzy, pracujący w warunkach tak ciężkich, dający taką sumę wysiłku, poświęcenia...

Co jest, u licha, z tą odwagą i honorem?

Czego oni się tak strasznie boją?

Byłem na wojnie i wiem. Sprawa ilości i garstki, która dowodzi ilością.

Problem władzy. Wyimaginowane pojęcie siły. A kiedy wybucha wojna, rewolucja, sprzeciw?

Kiedy istniejący porządek, *status quo*, się przewraca? Nie ma na to wzoru. Owoc spada, gdy jest dojrzały. Potem gnije, użyźnia miejsce, w którym ziarno ma zakiełkować. Ale musi być ziarno, żeby coś urosło. Co ma, co może dzisiaj urosnąć tutaj? System, który tępi ziarna, rządzi się dużym rozumem.